

Fantazmat idealnej Polski.

Jan Sowa i projekt Polski ejdetycznej

Błażej Skrzypulec
Michał Zabdyr-Jamróż

Książka Jana Sowy *Fantomowe ciało króla* (2011) podnosi mnóstwo żywothnych kwestii z zakresu interpretacji polskiej historii – przede wszystkim losów Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Wkracza w sam środek sporów toczonych przez współczesnych historyków, publicystów i filozofów. Jest ona też wyzwaniem rzuconym środowisku „Pressji”. Sformułowaną przez nas koncepcję Polski ejdetycznej Sowa uznaje bowiem za jeden z przejawów melancholicznej nostalgii, jaka trawi postkolonialne społeczeństwo (tamże: 18–19). Nostalgia ta, zamiast uzdrowić, pogarsza tylko sytuację, utrzymując nas w mentalnym kloszu „utraconego złotego wieku”.

Książka Sowy jest wyzwaniem rzuconym środowisku "Pressji"

Podjmując rzuconą rękawicę, niechętnie przyznamy słuszność wielu twierdzeniom Sowy, postaramy się je jednak oddzielić od tego, co wzbudza nasze zastrzeżenia. Stanowisko autora *Fantomowego ciała króla* daje nam okazję do sprecyzowania naszego stanowiska (głównie z *Polski ejdetycznej*) w sporze o interpretację polskiej historii i o rolę tej interpretacji dla współczesności.

Zbiorowa terapia Polaków

Celem Jana Sowy jest nie tylko napisanie kolejnej książki interpretującej historię Rzeczypospolitej według zupełnie nowego klucza. Autor chce przede wszystkim nakłonić Polaków do zbiorowej psychoterapii. Miałaby ona służyć uleczeniu zarówno tych, którzy chcieliby swoiście polskiej „modernizacji bez modernizmu” („dobrobytu bez Karty Praw Podstawowych”), jak i tych, którzy dla modernizacji (i modernizmu) byłiby w stanie zaprzeczyć się swojego dziedzictwa, ale także tych naiwnych, wedle których modernizm (choć bez modernizacji) narodził się w Rzeczypospolitej („Polska jako stłamszona kolebka wolności i tolerancji w Europie”). Celem Sowy jest freudowskie „świądome przypomnienie sobie przeszłości”. Zdaniem autora to teoria postkolonializmu – w ramach ogólniejszej teorii modernizacji i teorii zależności – stanowi najlepszą metodę przepracowania zbiorowych doświadczeń Polaków i ich sąsiadów. Może ona pomóc wydobyć się z zakłętego kręgu historii, w którym kondycja Polski na zawsze naznaczona jest „przymusem powtarzania”, replikowania swojej peryferyjnej pozycji

jako braku czegoś istotnego. Chodzi o porzucenie schematu „Polski-ofiary”, czy też „niepokalanej dziewicy”. Stawką jest tutaj uzyskanie podmiotowości. „Proces ten – powiada Sowa – daje się trafnie opisać w kategoriach psychoanalitycznych: jeśli, jak chciał Freud, źródłem przymusu powtarzania jest niemożność przypomnienia sobie wydarzeń z przeszłości i ich świadomego przeżycia, terapia powinna polegać właśnie na ich «ponownym zapamiętaniu»” (tamże: 441–442).

Nie powinno się jednak propozycji Sowy odczytywać w duchu, w którym pisze Ewa Thompson (2012). Według niej rozbiory Polski stanowią szczególnie ohydny przykład kolonializmu „białych przeciwko białym”. Kolonializm taki definiowany jest jako „militarny podbój terytorium i ludności, która już posiada swoją własną świadomość narodową, system polityczny, prawo, język i obyczaje społeczne”, czyli „przekształcenie (przy użyciu siły) nawet niewielkiej metropolii w peryferię”. A Rzeczpospolita była wszak prawdziwym centrum kulturalnym,

Szlachta polska była agentem zachodniego kapitalizmu

promieniującym na wszystkie okoliczne narody. Sowie nie chodzi o taką, opartą na resentymencie, interpretację polskiej historii.

Teoria postkolonialna w ujęciu Sowy jest zdecydowanie bardziej wszechstronna i wcale nie odnosi się tylko do prostego militarnego podboju. W kondycji (byłej) kolonii zdecydowanie istotniejszy jest wymiar społeczny i ekonomiczny, który ma skłonność do utrwalania się nawet mimo politycznego uniezależnienia. Dla Polski głównym przejawem tego jest ciągle odtwarzanie się podziału Europy wzdłuż linii Łaby. Pierwotnie była ona „tylko” granicą między modelami gospodarczymi kapitalistycznego zachodu

i pańszczyźnianego wschodu, w 1945 roku podział ten zbiegł się dobitnie z podziałem geopolitycznym wzdłuż Żelaznej Kurtyny.

Sowa wskazuje za Alexandrem Kiossevem, że kraje takie jak Rzeczpospolita dokonały samokolonizacji – same doprowadziły do swojej peryferyzacji (gospodarczej, technicznej, społecznej i politycznej). Dokonały tego przede wszystkim staraniami własnych elit. Naród szlachecki za sprawą swego „populistycznego rozumu” odgrywał rolę tak zwanej elity kompradorskiej – „elity peryferyjnych społeczeństw, która współpracuje z obcą potęgą, realizując przy tym własne interesy, ale szkodząc *per saldo* swojemu krajowi”. Znowu nie chodzi tu o kolaborację z zaborcami, ale właśnie o „złoty wiek” Rzeczpospolitej. Już wtedy „szlachta polska była agentem zachodniego kapitalizmu prowadzącym produkcję rolną zorientowaną na zachodni rynek zorganizowaną w oparciu o niewolniczą siłę roboczą” (Sowa 2011: 196–197). Integralnym elementem tej polityki – obok grabieżczej eksploatacji osiemdziesięciu procent ludności – była dyskryminacja wewnętrznego handlu i przemysłu, której zamiarem było utrzymywanie niedorozwoju miast polskich i polskiej klasy mieszczańskiej. Rzeczpospolita w tym ujęciu ochoczo włączyła się w logikę rozwijającego się systemu kapitalistycznego jako jego peryferie – „spichlerz Europy”. A wszystko za sprawą „wyjątkowego i totalnego egoizmu klasowego polskiej szlachty” (tamże: 225).

Kolejnym akcentowanym przez Sowę problemem jest to, że Rzeczpospolita nie tylko sama była ofiarą kolonializmu militarnego i kulturowego – podbitą okrutnie przez mocarstwa rozbiorowe (do czego się ogranicza wizja kolonializmu „białych przeciwko białym”) – ale że sama w toku swojego „złotego wieku” stała się mocarstwem opresyjnym. Ewa Thompson jedynie o tym wspomina. „Brak rozpoznania własnej

historii jako historii kolonialno-imperialnej powoduje, że reakcje byłych *subalterns* [narodów podporządkowanych – Ukraińców, Litwinów itd. – *B. S. i M. Z.-J.*] wydają się wyrazem wrogości wobec polskości jako takiej, podczas gdy stanowią tylko echo dawnego, kolonialnego funkcjonowania polskości jako kategorii opresywnej (tamże: 524).

Mity Rzeczypospolitej

Jan Sowa rozprawia się z wieloma pobożnymi mitami narostymi wokół Rzeczypospolitej wśród jej piewców. Ze szczególną stanowczością zwalcza mit, jakoby Rzeczypospolita w XVII wieku była „jednym z najbardziej wolnych państw kontynentalnej Europy” (Walicki 2009: 15). Píše on: „owszem, ale nie dla chłopów (czyli 80 proc. społeczeństwa). Dla nich była jednym z krajów najbardziej niewolnych” (Sowa 2011: 130). Trudno takie stwierdzenie oprotostować, znając systematycznie poprawiającą się kondycję chłopstwa i mieszczaństwa po zachodniej stronie Łaby. Już pod koniec XVII wieku irlandzki podróżnik Bernard O'Connor w *The History of Poland in Several Letters* zauważał, że kondycja chłopstwa Rzeczypospolitej porównywana była z sytuacją czarnych niewolników w Nowym Świecie.

Sowa krytykuje następnie ideę jagiellońską i orientację dyskursu historycznego na Kresach, stanowiących synekdochę polskości, jako symptom nostalgii „fantazmatycznej”. Ma ona pewne elementy tak zwanej nostalgii odtwarzającej, nieprzynajmniej się do idealizacji, lecz mającej roszczenie do opisywania obiektywnej prawdy. Taka nostalgia daje się łatwo upolitycznić, choć u nas stała się ona zbyt rozmyta i mało agresywna, by w pełni podążać tropem irredentyzmu jako restytucji dawnej chwały. Obecnie jej celem, zdaniem Sowy, jest „przystąpienie przy pomocy wycieczek w przeszłość braków

współczesnego polskiego społeczeństwa, państwa i kultury” (tamże: 506–507).

Sowa wskazuje dalej klasowe korzenie narodu polskiego – jako arystokracji „biopolitycznej republiki zbożowej” – dla którego reszta społeczeństwa jest tylko niemym lub zagłuszonym zasobem. Zauważa, że pierwotnie polskość – jako kategoria klasowa, odnoszona wyłącznie do narodu politycznego – była oczywiście atrakcyjna (choćby dla Kozaków), ale zarazem wybitnie ekskluzywna i alienująca inne etniczności i klasy. Przy okazji jednak sam Sowa przyznaje, że w XIX wieku polskość spopularyzowała się, zachowując ideologiczną siłę przyciągania za sprawą fantazmatu utraconej „złotej wolności”. Autor wpisuje się tym samym w narastającą tendencję kwestionowania tożsamościowej identyfikacji większości Polaków z dawnym narodem szlacheckim. To w tym duchu rehabilituje się takie postaci historyczne jak Jakub Szela, który był inkarnacją desperackiego gniewu pańszczyźnianych chłopów (Wielgosz 2012).

Król o jednym ciele

Wyzwanie rzucone koncepcji Polski ejdetycznej szczególnie godzi w jej polityczno-ustrojowy wymiar. Jan Sowa błyskotliwie rozwija stare twierdzenia o szlacheckiej anarchii, bezwładzie państwa i słabości króla, najpierw umieszczając je w ramach paradygmatu dwóch ciał króla Ernsta Kantorowicza, a potem ujmując w kategorii psychoanalizy Jacques'a Lacana. Jego celem jest zbiorowa psychoanaliza Polaków i uleczenie ich stosunku do ojczyzny, państwa i samych siebie jako narodu politycznego.

Scharakteryzowany przez Kantorowicza (2007) paradygmat w ideologicznym wymiarze opisywał progresywny rozwój zachodnioeuropejskich systemów polityczno-prawnych – monarchii konstytucyjnych

i absolutnych, takich jak Anglia i Francja – i był zarazem źródłem ich fenomenalnego sukcesu cywilizacyjnego. Wskazuje się w nim wyraźne konceptualne rozgraniczenie naturalnego ciała monarchy – śmiertelnej osoby fizycznej, obciążonej wszystkimi przywarami właściwymi naturze ludzkiej – od jego ciała wspólnotowego czy też politycznego, stanowiącego personifikację nieśmiertelnego państwa, ucieleśnienia porządku prawnego. Ta fikcja prawna czyniła ostatecznie z instytucji monarchy jako ciała politycznego fundacyjną osobę prawną, reprezentowaną w pełnym majestacie nie tylko przez samego monarchę jako osobę fizyczną, ale i cały aparat jego funkcjonariuszy, mających narzędzia wdrażania jednolitej politycznej woli. W ten właśnie sposób w ustrojach państw Europy Zachodniej zagwarantowana została zarazem sterowność państwa, jak i jego praworządność.

Jan Sowa – niejako sublimując oceny krakowskiej szkoły historycznej – zastosował powyższy paradygmat do analizy Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Określił on ustrojową sytuację tego państwa po wprowadzeniu monarchii elekcyjnej mianem „fantomowego ciała króla”. Sowa pisze: „wszyscy władcy I Rzeczypospolitej po Zygmuncie Auguście byli okaleczeni i posiadali tylko jedno ciało: swoje własne ciało fizyczne. Monarchia elekcyjna I Rzeczypospolitej zaprzecza we wszystkich najważniejszych punktach doktryny Dwóch Ciał Króla. Król nie jest jednoosobową korporacją zbierającą mnogość pokoleń [...] ale przygodnym elementem, który zajmuje swoje miejsce nie ze względu na konieczną i nadnaturalną ciągłość wspólnotowego ciała republiki, ale na skutek przypadkowej gry społecznych sił i interesów. Każdego monarchę oddziela od jego poprzednika i następcy *zasadnicze zerwanie* [...]. Rzeczypospolita Obojga Narodów istniała jako państwo w standardowym sen-

sie tego słowa nie więcej niż trzy lata – od Unii Lubelskiej w 1569 roku do śmierci Zygmunta Augusta w 1572 roku; umarła wraz ze swoim pierwszym i ostatnim władcą. Rozbiory z lat 1772–1795 to tylko *Symboliczne* potwierdzenie czegoś, co na poziomie Realnym stało się już faktem dokładnie dwa wieki wcześniej: nieistnienia państwa polskiego. I Rzeczypospolita w latach 1572–1795 to fantomowe ciało króla. Termin ten opisać ma zjawisko analogiczne do funkcjonowania tak zwanych kończyn fantomowych: po amputacji ręki lub nogi pacjent przez jakiś czas odczuwa ich istnienie [...]. Taki też był los I Rzeczypospolitej: śmierć ostatniego dziedzicznego monarchy w historii polskiego państwa była też śmiercią tego państwa

Szlachta na jego trupie urządziła sobie karnawał zwany demokracją szlachecką

jako takiego. Ciało fizyczne króla umarło śmiercią naturalną, a ciało wspólnotowe zostało dorżnięte przez szlachtę, która na jego trupie urządziła sobie karnawał zwany demokracją szlachecką” (tamże: 237, 239–240, wyróżnienia w oryginale).

Zanim zanalizujemy dalszą część wводу Sowy – interpretację demokracji szlacheckiej z perspektywy psychoanalizy lacanowskiej – konieczne jest pogłębienie systemowej analizy „karnawału demokracji szlacheckiej”.

Co zabiło króla?

Wchodząc w polemikę z Janem Sową, należy zauważyć, że nie ma koniecznego związku między samą wolną elekcją a „zabiciem ciała politycznego króla”. Gdyby tylko zachowano administracyjną sprawność urzędu, król polski byłby kimś podobnym do republikańskich urzędów protestanckich

republik Europy. Króla, a właściwe ciało polityczne wspólnoty, zabito, odbierając mu sprawne ręce – unieszkodliwiając jego władzę i to niekonięcznie za sprawą złotej wolności. Z perspektywy ciała politycznego (wspólnotowego), nie jest problemem odebranie królowi „godności” przez uczynienie jego urzędu wybieralnym, pod warunkiem, że zagwarantuje się ciągłość sprawowania władzy państwowej i samą godność urzędów publicznych. Jak pokazuje historia wielu europejskich republik, a także rozmaitych monarchii z silnymi elementami republikańskimi, gwarancją takiej godności urzędu jest sterowność – decyzyjność, zachowanie odpowiedniej proporcji między ryzykiem zewnętrznym decyzji (preferującym kolegialność i mnożenie procedur decyzyjnych) a jej wewnętrznym kosztem podejmowania (domagającym się urzędów jednoosobowych) (Sartori 1998: 265 i nast.).

Zasadne wydaje się więc poszukiwanie przyczyn upadku Rzeczypospolitej nie tyle w wyraźnych, ogólnoustrojowych rozwiązaniach, takich jak *liberum veto* czy wolna elekcja, ale w szczegółowym urządzeniu poszczególnych funkcji publicznych i organizacji urzędów. Sterowność administracji publicznej w Rzeczypospolitej powodowana była niekorzystnymi przemianami społeczno-ekonomicznymi, które niweczyły nawet poprawne rozwiązania instytucjonalne.

Bardzo poważnym problemem polskoliteńskiego systemu prawnego był brak sił policyjnych służących wykonywaniu wyroków. Egzekucję rozstrzygnięć sądowych powierzano członkom lokalnej wspólnoty szlacheckiej. Zbiorowa egzekucja wyroków zinstytucjonalizowała się w tak zwany zajazd, który winien być prowadzony pod rozkazami starosty. Wraz z wymykaniem się zajazdów spod kontroli urzędniczej dokonywała się anarchizacja życia publicznego.

Następnie urzędy obsadzano na zasadzie dożywności. Powszechna była praktyka sprzedaży urzędów i stopni oficerskich, co nie byłoby odstępstwem od praktyk zachodnich monarchii absolutnych, gdyby nie fakt, że dochody z tego źródła trafiały nie do skarbu królewskiego, ale do prywatnego majątku dygnitarzy – senatorów dysponujących prawem obsadzania danego urzędu (monarcha tylko zatwierdzał takie „transakcje”) (Kornaś 2005: 108, 111).

To, co dodatkowo różniło Rzeczpospolitą od monarchii zachodnich, to niemożność powołania przez króla – prócz właściciela urzędu – także fachowych urzędników bezpośrednio podległych jego władzy. Niemożność wykształcenia się profesjonalnej klasy urzędników państwowych wynikała także z generalnego monopolu urzędniczego szlachty – zakazu sprawowania urzędów między innymi przez mieszczan, którzy w Europie Zachodniej zawsze byli głównym substratem klasy urzędniczej (tamże: 111). Pewne odstępstwa od tego wykluczenia dostrzegalne były w wypadku nadwornych sądów królewskich podległych Kanclerzom (jak sąd asesorski), co czyniło z nich najbardziej profesjonalne instytucje w Rzeczypospolitej (Bardach, Leśnodorski, Pietrzak 2009: 266).

Prócz tego podstawową kwalifikacją do pełnienia kluczowych urzędów były nie tyle umiejętności, co bogactwo. Nie wynikało to tylko z konieczności kupna funkcji. Ze względu na niesprawność aparatu skarbowego monarchy (wielkie opóźnienia na przykład w wyptacaniu zółdu), gwarancją sprawności urzędu było dysponowanie znacznym majątkiem osobistym przez samego urzędnika. Umożliwiało to bieżące wykonywanie funkcji publicznej, dopóki Sejm nie zwróci poniesionych z tego tytułu kosztów. Miało to takie konsekwencje, że – choćby w wypadku armii – budowany był raczej system lojalności

względem bogatego dygnitarza, a nie urzędu. Prowadziło to do powstawania wielkich prywatnych armii niełojalnych wobec króla.

Przedstawiony na rysunku system władzy publicznej w Rzeczypospolitej Obojga Narodów obejmuje zasadniczo okres od Unii Lubelskiej do reform administracyjnych z drugiej połowy XVIII wieku. Należy odczytywać go właśnie w kontekście przedstawionych patologii systemowych: rosnącej niewydolności wymiaru sprawiedliwości i obniżania jego rangi, postę-

Metafora zabójstwa króla jest trafna, ale nie polegało ono na elekcji

pującej kolonizacji kluczowych urzędów publicznych przez magnaterię, stopniowego osłabiania terenowych urzędów królewskich (takich jak starosta) na rzecz instytucji szlacheckiego samorządu (sejmiki) oraz opanowania tych ostatnich przez magnatów za sprawą zinstytucjonalizowanego przekupstwa (klientyzm) (Kornaś 2005: 110).

Postępujący regres ustrojowo-administracyjny jest uznawany za jedną z podstawowych przyczyn upadku Rzeczypospolitej. Brak skutecznej organizacji funkcji państwa stał się z czasem główną cechą tradycji administracyjnych Rzeczypospolitej. Dostrzegalny był on nawet w zasadniczo korzystnych i postępowych próbach reform administracyjnych drugiej połowy XIII wieku. W reformach z 1773 roku, choć usiłowano zbudować załóżki profesjonalnej kadry urzędniczej, nie przewidziano terenowych organów administracji państwowej. Konsekwentnie formowano organy administracji centralnej według zasady kolegalności, akcentując mechanizmy politycznej deliberacji kosztem administracyjnej sprawności (Izdębski 2001: 54). Ta sama troska o polityczne wpływy szlachty sprawiła, że reformy

Sejmu Wielkiego (1788–1792) wprowadziły kuriozalną strukturę władz centralnych, w której odgrywająca rolę rządu Straż Praw miała kierować ministerstwami (Komisjami), jednak członkowie Straży nie byli zwierzchnikami ministerstw, które z kolei jako ciała kolegalne mogły się odwoływać od decyzji Straży do Izby Poselskiej (Kornaś 2005: 114). Trudności z realizacją zasad dekoncentracji – terenowej delegacji władzy centralnej – a także nieprzejrzysty podział uprawnień w ramach władzy centralnej zdają się powracającymi cechami administracji publicznej w Polsce. Innymi słowy, metafora zabójstwa politycznego ciała króla jest trafna, ale niekoniecznie polegało ono na wolnej elekcji, lecz na upośledzeniu administracji monarchy.

Ustrój źle zmieszany

Przedstawiona przez Jana Sowę krytyka ustroju Rzeczypospolitej stanowi doskonały pretekst, by rozwinąć i doprecyzować idee, które przyświecały koncepcji trzech dyskursów sejmujących (Czabanowski, Zabdyr-Jamróz 2010). Jego krytyka – wskazująca przede wszystkim na wadliwość, a właściwie fasadowość konstrukcji polskiej monarchii oraz na pierwotnie klasowy charakter polskiej narodowości – daje podstawę do wyraźniejszego oddzielenia ziarna od plew: do wskazania, co w instytucji trzech stanów sejmujących było godnego podziwu, a co jedynie psuło ten arcyciekawy mechanizm. Nieodzowne są tu porównania do ustroju angielskiego (obecne zresztą u Sowy), tym bardziej, że podobieństwa systemowe są wyraźne (Gromelski 2008). *Fantomowe ciało króla* zadaje naszej ejdetycznej apologii I RP kłopotliwe pytanie: „Skoro ustrój Najjaśniejszej Rzeczypospolitej był taki doskonały, to dlaczego upadła ona z kretesem i pod ciężarem własnych gnijących trzewi?”. Książka ta

daje przestanki do śmiałej próby odpowiedzi na to ważne pytanie.

Przypomnieć musimy w tym miejscu, że propozycja przedstawiona w *Trzech stanach sejmujących* stanowiła od samego początku wyłącznie próbę ekstrakcji z ustroju I RP tego, co najlepsze i wciąż godne uwagi w dzisiejszym świecie – wydobyć z pewnej całości, którą trudno uznać w całokształcie za doskonałą. Imponująca i wszechstronna interpretacja Sowy stanowi dla nas doskonały pretekst do wyraźniejszego wskazania tego, co w zasadzie naczelnego urzędzenia Rzeczypospolitej było zacne, a co należy jednoznacznie uznać za szpetne i niedorzeczne.

Rzeczpospolita stanowiła monarchię mieszaną – ustrój łączący system monarchiczny z elementami demokratycznymi i oligarchicznymi (Butterwick 2010: 212). System jej fundował się za zasadzie podziału władzy społecznej między tymi czynnikami społecznymi i ich odpowiednim zbalansowaniu. Podobnie jak w niegdyjszej Anglii (a potem Zjednoczonym Królestwie), tak i w Rzeczypospolitej instrumentem realizacji tej zasady był system zwany obecnie suwerennością parlamentu. Jest to taki system, w którym władzę zwierzchnią w państwie – rolę naczelnego prawodawcy, a nawet i suwerena w sensie Schmittowskim, zdolnego do decydowania o stanie wyjątkowym – pełni Parlament, czyli – w Rzeczypospolitej – Sejm.

Suwerenność parlamentu jest odmianą suwerenności proceduralnej, niesprawowanej przez żaden pojedynczy podmiot jednoosobowy (monarcha) lub zbiorowy (ciało kolegialne). Parlament lub Sejm w sensie konstytucyjnym – inaczej niż w potocznym, metonimicznym – nie jest bowiem tylko jakimś gremium ludzi, na przykład Izbą Gmin lub Izbą Poselską. Jest on w istocie czymś na kształt komisji trójstronnej dla przedstawicielstw kluczowych czynników społecznych – trzech „stanów”: jednego jednoosobowe-

go (monarchy) i dwóch wieloosobowych (pospólstwa i możnych). Tak jak suwerenem w Zjednoczonym Królestwie jest (formalnie po dziś dzień) Król z Gminem i Lordami (świeckimi i duchownymi) „w Parlament zebrany” (*in Parliament assembled*), tak w Rzeczypospolitej były nim trzy stany sejmujące: Król, Izba Poselska i Senat.

System taki nie polega na ściśle polityczno-prawnym podziale władz w sensie opisanym przez Monteskiusza. Polega on raczej na podziale władzy społecznej między najistotniejsze czynniki społeczne – klasy i stany. Izba Lordów lub Senat reprezentowałyby tu czynnik oligarchiczny, najpotężniejsze osoby w państwie, elity; Izba Gmin lub Izba Poselska – pospólstwo; monarcha zaś (jako *body politic*) – zobiektywizowaną wspólnotę polityczną, władzę publiczną, „rządy prawa” oraz godności państwa. W systemie takim chodzi przede wszystkim o jednomyślność trzech stanów sejmujących – czyli równouprawnienie czynników społecznych (zob. Zabdyr-Jamróż 2009). O ile jednak ustrój angielski został skonstruowany w taki sposób, że zagwarantował korzystny dla wspólnoty podział władzy w społeczeństwie, w ustroju Rzeczypospolitej można dostrzec dwie zasadnicze wady.

Pierwszą jest ograniczenie zainteresowania równowagą czynników społecznych wyłącznie do obrębu stanu szlacheckiego. Należy się zgodzić z Sową, że wada ta była fundamentalna, wręcz niewybaczalna z perspektywy współczesnej nauki politycznej. Rzeczpospolita była z założenia skonstruowana tak, że uznawała za podmioty i zarazem poddanych władzy prawnopolitycznej wyłącznie osoby należące do stanu szlacheckiego. Inaczej niż w Anglii, ustrój Rzeczypospolitej nie przewidywał w ogóle możliwości upowszechnienia uprawnień na inne stany – chłopów (mających pozycję niewolniczej siły roboczej)

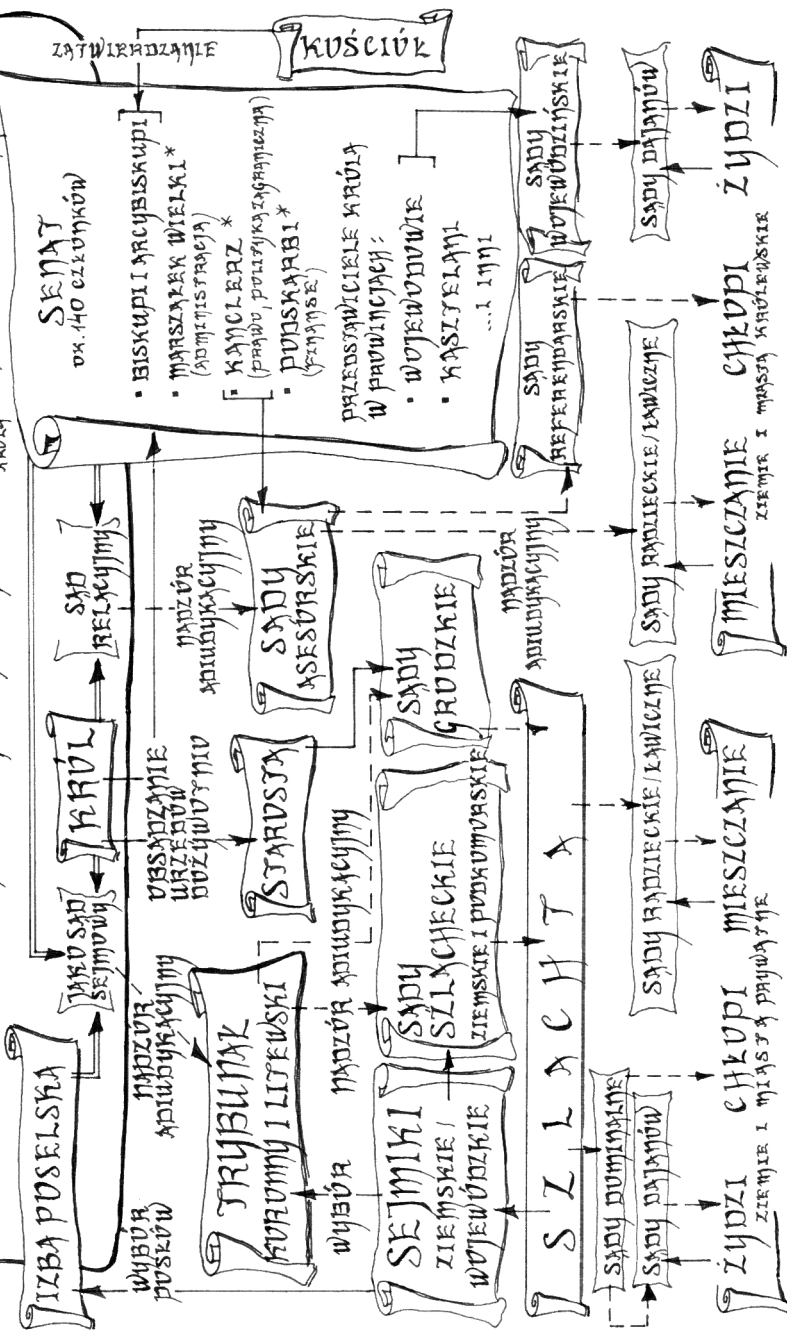
SEJM WALNY

WŁADZA ZWIERZCHNIA W RZECZPOSPOLITEJ

* PO JEDYNYM WZGLĘDNIE
MIA KOROŃNY I WŁĄTŁTÓW

"TRZY STANY SEJMUJĄCE"

SĄD SEJMOWY I SĄD RELACYJNY
PARADYMATYKĄ PÓŁPRAWOŚNIECZYM
KROŁA



OPRACOWANIE METRYFOROZCZNE: M. ZABOJA - JAWÓZ

OPRACOWANIE GRAFICZNE: ALEXANDRA GREGORA

i mieszczaństwa (traktowanego jako złoto konieczne w agrarnym z zasady porządku). Istniała oczywiście możliwość nobilitacji lub habilitacji mieszczan i chłopów, ale w ogóle nie zakładano upodmiotowienia przedstawicieli mieszczaństwa czy chłopstwa jako takich. Co ciekawe, nawet „postępowa” Konstytucja 3 maja kontynuowała to wykluczające rozwiązanie. Konsekwencją ewidentnej klasowości systemu politycznego był rzucający się w oczy fenomen zróżnicowanej prawnej kondycji ludności nieszlacheckiej (chłopów, mieszczan i Żydów), w zależności od tego, czy zamieszkiwała ona ziemie i miasta szlacheckie czy też należała do szlachty (zob. rysunek obok).

Uznanie za naród polityczny wyłącznie szlachty sprawiło, że – trafne z założenia – równouprawnienie różnych czynników społecznych dotyczyło wyłącznie wąskiej części społeczeństwa. Izba Poselska reprezentowała nie pospółstwo społeczeństwa Rzeczypospolitej, ale tylko społeczeństwa szlacheckiego. W takiej sytuacji system społecznej równowagi budowany przez zasadę suwerenności parlamentu nie mógł działać poprawnie, gdyż nie równoważył całego społeczeństwa, a tylko jego wycinek.

Jednak nawet i w tym wymiarze konstrukcja systemu politycznego Rzeczypospolitej zawiodła. Jej drugim błędem było to, że już w obrębie „narodu szlacheckiego” system równowagi między czynnikami społecznymi zachwiał się na wyraźną korzyść magnaterii, czyli elity wewnątrz społeczeństwa szlacheckiego. Możliwe zresztą, że ten drugi błąd był spowodowany pierwszym.

Jedną z podstawowych przyczyn nierównowagi ustrojowej była systematycznie rosnąca ekonomiczna i polityczna rola magnaterii – oligarchii szlacheckiej – przy stopniowym ubożeniu szlachty średniej i agraryzacji miast. Co znamienne, zdaniem Sowy proces ten był ściśle związany zawarciem

Unii Lubelskiej i w konsekwencji kolonizacją Kresów, które stanowiły materialną bazę dla władzy politycznej magnatów (2011: 319–327). Wzrost rozwarstwienia społecznego w obrębie stanu szlacheckiego

Izba poselska reprezentowała pospółstwo, ale tylko społeczeństwa szlacheckiego

go i towarzyszący mu wzrost potęgi politycznej możnych przykrywał mit równości w obrębie szlachty. Magnateria – będąca niejako oligarchią wewnątrz oligarchii – miała swoje oparcie w Senacie, w którym zasiadali przedstawiciele najbogatszych rodów, dzierżący kluczowe urzędy publiczne. Jak już była o tym mowa, ze względu na mechanizm kupowania urzędów i konieczność posiadania znacznego majątku prywatnego, by sprawnie wywiązywać się z obowiązków, kryterium dostępu do godności senatora było bogactwo.

W Anglii tytuł lordowski – więc i prawo do zasiadania w izbie wyższej parlamentu – traktowany był wyraźnie jako nagroda i przywilej dla prywatnej osoby oraz jej rodu. Inaczej niż w Polsce, był on dziedziczny i – także odmiennie – Król mógł rozdawać takie przywileje wedle uznania, nieograniczony liczebnością urzędów. Dożywni dygnitarze władzy państwowej stanowili w Izbie Lordów wąskie grono spośród dziedzicznych parów i funkcjonowali bardziej jako zaufani króla, raczej poza izbą. Ciałem to, w ramach systemu politycznego monarchii konstytucyjnej, stanowiło więc jawną reprezentację oligarchicznego czynnika społecznego (a właściwie jego *prezentację*, gdyż możni królestwa stawiali się w nim osobiście) – osób o największych wpływach i władzy w królestwie (w tym także duchowej). Nie pełniąc jednocześnie funkcji publicznych (jak miało to miejsce

w Rzeczpospolitej), opierali swoją potęgę na wpływach gospodarczych lub rolach społecznych, nie zaś na ścisłym związku z władzą polityczną.

W Rzeczpospolitej było zupełnie inaczej. Izba wyższa w założeniach miała być ciałem merytokratycznym – gronem najważniejszych ministrów króla. Tytuł senatora tożsamy był z pełnieniem jakiejś – w większości symbolicznej – funkcji publicznej, a więc grono ich było ściśle ograniczone. Tutaj pojawiał się zasadniczy fałsz w systemie podziału władzy w Rzeczpospolitej. Ciało ściśle oligarchiczne funkcjonowało pod przykrywką ciała merytokratycznego, uniemożliwiając *de facto* wykształcenie się właśnie niezależnej od interesów oligarchii szlacheckiej, opartej na mieszczaństwie klasy profesjonalnych urzędników. Powodowany tym brak mocy władczych monarchy czynił z niego zupełnie fasadowy czynnik społeczno-polityczny, który nie był w stanie ani rozgrywać polityki na swoją korzyść, ani balansować systemu, zabezpieczając interesy „szlacheckiego pospólstwa” lub pospólstwa społecznego w ogóle.

Dostrzegamy tu sprzężenie zwrotne między pierwszym i drugim błędem. Wyraźne (choć nie całkowite) odcięcie aparatu władzy monarszej od podstawowego zasobu profesjonalnych kadr, czyli mieszczaństwa (błąd pierwszy), powodowało rozregulowanie mechanizmu równowagi społecznej w obrębie narodu szlacheckiego na rzecz dominacji magnaterii przez rozbrojenie monarchy i uzależnienie go od magnaterii (błąd drugi). Z drugiej strony, coraz silniejsze uzależnienie funkcji państwowych od możnych – jedynie zdolnych do ich wykonywania – czyniło coraz bardziej nieprawdopodobnym poszerzanie uprawnień politycznych mieszczaństwa i chłopów, którzy zdani byli na łaskę magnaterii, pełniącej funkcje

nadrzędne nawet względem „królewskich” mieszczan i chłopów.

Tym samym, wracając do kłopotliwego pytania Sowy, widzimy, że praprzyczyną rozstrojenia politycznego mechanizmu równowagi między klasami społecznymi – instytucji suwerenności parlamentu – było ograniczenie go do równowagi wyłącznie wewnątrz stanu szlacheckiego, a więc klasowość ustroju politycznego.

Edypalny kompleks szlachty

Wszystkie te arcyciekawe rozważania Sowy na podstawie teorii Kantorowicza, do których odwołuje się sam tytuł książki, wiódą jednak do jeszcze ciekawszych i kluczowych terapeutycznie wniosków – do analizy kondycji narodu szlacheckiego z perspektywy psychoanalizy Lacana.

Najogólniej wnioski Sowy można streścić tak: szlachta w akcie wolnej elekcji, w iście edypalnym geście, kolektywnie zamordowała polityczne ciało króla-ojca, by bez skrupowania realizować swoje *popędy* na łonie matki-Rzeczpospolitej. Zabijając ojca (Wielkiego Innego) uchroniła się ona bowiem przed „kastacją”, pojmowaną w tym kontekście jako nieodłączny krok ku podmiotowości, konieczny element dojrzenia, polegający na „odmówieniu rozkoszy” przez przejście od *alienacji* (panowanie Innego nad podmiotem) do *separacji* (dostrzeżenia braku w Innym i „powrót do siebie”).

Podczas gdy dojrzałe narody zachodnie za sprawą politycznego ciała monarchy, który odmówił im rozkoszy przeorientowały się na nieuśmierzone *pragnienie* – poszukujące wciąż nowego przedmiotu i tym samym właściwe kapitalizmowi – szlachta polska utknęła w stadium *alienacji* – dziecinnej, *quasi-feudalnej popędliwości*. „Mam wszystko, co mógłbym mieć – pragnę tylko jednego: zachować to”. Polityczną agendę

szlachty Sowa diagnozuje jako jednostkę chorobową. Zakładająca doskonałość tego, co jest, „apoteoza demokracji szlacheckiej odpowiadałaby zaburzeniom typu schizofrenicznemu (szlachta w transie totalnej władzy/rozkoszy), natomiast za biegun paranoidalny uznać wypada przechodzącą w kruczającą przeciw absolutyzmowi wizję ab-

Pierwsza wolna elekcja była mordem założycielskim, w wyniku którego Rzeczpospolita przestała istnieć

solutum dominium jako celu, do którego dąży ponoć król i inni wrogowie Rzeczpospolitej (domniemanie nadmiernej rozkoszy w miejscu Innego). „Szlachta pragnęła króla/Ojca jednocześnie doskonałego i martwego”.

Popęd zatrzymał szlachtę w „kretynizmie życia wiejskiego”, czyniąc z niej antypodmiot, kolektywnego bachora niezdolnego do jakiegokolwiek działania politycznego, nawet do uświadomienia sobie swoich wad i ograniczeń, nie mówiąc już o koniecznej adaptacji do zmieniającego się świata. Pierwsza wolna elekcja była mordem założycielskim, w wyniku którego Rzeczpospolita przestała istnieć, choć nie było tego jeszcze widać. Rozbiory – ów „tryumf nowoczesnej formy” – były tym samym „wierne prawdzie”. Jedyne przypieczęto-wywały to, czego dokonała na Rzeczpospolitej sama szlachta. Dopiero w skreślonej z mapy Europy *Polsce (sic!)*, nawet mimo romantycznych „fantazmatów duchowej wielkości”, udało się uleczyć szlacheckie psychozy maniako-depresyjne. To „tak, jakby zaborcom o wiele lepiej niż szlachcie udało się przeprowadzić proces konstrukcji podmiotowości przez alienację i separację” (tamże: 401–421).

Warto w tym miejscu zauważyć, że z perspektywy lacanowskiej do wykształcenia się

nowoczesnej tożsamości narodowej konieczny był monarcha absolutny. Inaczej jednak niż można by sądzić z perspektywy tradycyjnych ujęć „narodowo-konserwatywnych”, był on potrzebny nie jako inkarnacja woli narodu, ale właśnie jako oponent, „wróg” narodu. To właśnie z tarcia między państwem a społeczeństwem wyłania się nowoczesna wspólnota obywatelska.

Interpretacja zachowań narodu szlacheckiego przez figurę Edypa – razem z innymi psychoanalitycznymi uwagami o kastracji i o popędach – może wzbudzać ironiczny uśmiech. Jednak potraktowana z pewnym kredytem zaufania, jako uprawniony gest humanistyki – nadający nowy sens znanym już prawdom – stanowi istotny wkład w proces uporania się Polaków ze swoją świadomością historyczną. Interpretacja ta ostatecznie wiedzie bowiem Sowę do postawienia postulatu na temat tego, jak można się uwolnić od postkolonialnego kompleksu niższości bez resentymentu i bez imitacji.

Jak wyjść z peryferii?

Jan Sowa omawia cztery alternatywne sposoby przezwyciężenia peryferyjnej pozycji Polski – trzy z nich poddaje krytyce, ostatni jest jego własną, dość enigmatyczną propozycją. Każdy z nich wiąże się z odmiennym pomysłem na poradzenie sobie z opozycją uniwersalność – partykularność, która w *Fantomowym cielesie króla* mocno koreluje z podziałem na centrum i peryferie. Centrum posiada zdolność do generowania uniwersalności. Niezależnie od tego, czy mamy do czynienia z popkulturą, gospodarką czy rozwojem technicznym, centrum wyznacza wzorce, które obowiązują wszystkich, a jednocześnie są tak skonstruowane, że służą utrzymaniu jego dominującej pozycji. Tymczasem peryferie generują raczej dziwne formy lokalne,

obowiązujące jedynie tam, gdzie powstały, które zazwyczaj wydają się zacofane w konfrontacji z przychodzącą z centrum uniwersalnością.

Wszystkie próby odrzucenia peryferyjnego statusu muszą się zmierzyć z dylematem modernizacji i tożsamości. Z jednej strony oczywiście nie może być mowy o opuszczeniu peryferii bez modernizacji, z drugiej jednak dostępne wzorce modernizacyjne zostały wypracowane poza lokalną partycularnością i mogą się okazać obiektywnie nieprzystające do peryferyjnej rzeczywistości lub zostać subiektywnie odrzucone jako „obce”.

Pierwszą z omawianych przez Sowę propozycji można określić jako naśladownictwo. Podział na partycularną Polskę i uniwersalny Zachód przyjmuje się w nim jako trafny opis sytuacji i wyprowadza z niego normatywną wytyczną. Naszym celem ma być dogonienie Zachodu przez zaszczepienie na rodzimym gruncie tamtejszych rozwiązań. Wydaje się, że tego typu stanowisko dominowało u progu polskiej transformacji ustrojowej, dziś natomiast coraz częściej spotyka się z krytyką formułową zarówno z prawej, jak i lewej strony.

Wyraźnie widać, że takie rozwiązanie nie jest w stanie pozytywnie rozwiązać dylematu między modernizacją a tożsamością, wybierając pierwszą z nich kosztem drugiej. Rodzi to obawy, że modernizacyjne rozwiązania będą traktowane i odczuwane jako obce, przez co zostaną odrzucone lub przybiorą jakąś wypaczoną, niefunkcjonalną formę. Ponadto, jak słusznie zauważa Sowa, „gonienie Zachodu” prowadzi nie do modernizacji, ale do „unowocześniania zacofania” – podobnie jak kiedyś peryferyjna feudalna Polska eksportowała zboże do rodzących się kapitalistycznych gospodarek Zachodu, tak teraz jest wytwórcą sprzętu AGD dla

państw inwestujących w znacznie bardziej zaawansowane technologie.

Drugie z rozwiązań Sowa określa jako postmodernistyczne i w znacznej mierze przypisuje je Zdzisławowi Krasnodębskiemu. W tym ujęciu dychotomii uniwersalnego centrum i partycularnych peryferii odmawia się statusu trafnej deskrypcji, traktując ją raczej jako rodzaj ideologicznej konstrukcji. Rozwiązaniem nie ma być dostosowanie się do zachodnich standardów, ale doprowadzenie do sytuacji, w której Zachód zostanie uznany po prostu za pewien szczególny przypadek partycularyzmu. W praktyce może to oznaczać dążenie do postępu

Do grupy poszukiwaczy zaginionego wieku zaliczone zostają „Pressje”

naukowo-techniczno-gospodarczego przy zachowaniu lokalnej, „partycularnej” struktury społecznej oraz związanych z nią norm i obyczajów, uznanych za odmienne, ale nie gorsze od zachodnich.

Autor *Fantomowego ciała króla* wysuwa przeciwko tej próbie pogodzenia modernizacji z tożsamością dwa, jak się wydaje dość trafne, zarzuty. Po pierwsze, podaje w wątpliwość możliwość modernizacji bez modernizmu – przekształceń społecznych, które na zachodzie towarzyszyły rozwojowi technicznemu. Po drugie, wskazuje na trudność właściwą dla postmodernizmu w ogóle, to znaczy przyznawanie wielkiej mocy operacjom prowadzonym na poziomie dyskursu przy pominięciu związków przyczynowych.

Zwolenników trzeciej z omawianych przez Sowę opcji można określić jako poszukiwaczy zaginionego wieku. Do tej grupy zaliczone zostają między innymi „Pressje” ze swoim projektem Polski ejdetycznej – zupełnie niestusznie, jak postaramy się za moment pokazać. Poszukiwacze, podobnie

jak naśladowcy, uznają, że termin „peryferie” trafnie oddaje obecną sytuację Polski, jednak nie wyciągają z tego normatywnego wniosku o konieczności upodobniania się do Zachodu, lecz proponują powrót do czasów, gdy opozycja uniwersalne centrum – partykularne peryferie jeszcze się nie ukonstytuowała, i rekonstrukcję pewnych zaczerpniętych stamtąd wzorców. Za tego rodzaju zaginiony złoty wiek bywa brana często zarówno I, jak i II Rzeczpospolita.

Do narzucającego się, zdroworozsądkowego przypuszczenia, że tego typu projekt nie może mieć szans na żadną owocną realizację, Sowa dodaje także bardziej subtelny argument. Jak zauważa, polskość kształtowała się jako peryferyjna – jako *habitus* obywateli kraju, który pozostał na obrzeżach rodzącego się kapitalizmu. Nie ma więc żadnego historycznego okresu, w którym można odnaleźć nieperyferyjne wzorce polskości.

Strategia „Pressji”

Jan Sowa prezentuje własne, czwarte rozwiązanie na kilku ostatnich stronach *Fantomowego ciała króla* (tamże: 532–535). Są to dość enigmatyczne stwierdzenia, które wymagają dalszej obróbki interpretacyjnej. Sowa stwierdza, że wyjście z pozycji peryferyjnej i rozwikłanie dylematu modernizacji i tożsamości powinno polegać na „odczytaniu we własnej partykularności ruchu tego, co uniwersalne”, a „badanie własnej, partykularnej historii to jednocześnie spotkanie z tym, co uniwersalne”.

Zacznijmy od tego, że miazdząca krytyka ustroju społeczno-politycznego I Rzeczpospolitej, która poprzedza konkluzje Sowy, może być gorsza od choroby, którą ma zwalczać. Stanowi co prawda lekarstwo na próżny sentymentalizm złotego wieku, lecz przy okazji wpędza w depresję kompleksu

niższości i w efekcie w obsesyjno-kompulsywne poszukiwanie czegoś, co by od tej niższości mogło wybawić. To poszukiwane w rozpaczę wybawienie prędzej niż ku pogłębionemu przekroczeniu swojej peryferyjności przywiedzie raczej do bezrefleksyjnego naśladownictwa „jedynych sprawdzonych rozwiązań”.

Mało tego, do podobnie paradoksalnych wniosków – jeśli mielibyśmy interpretować głos Sowy w duchu antykapitalistycznym – może prowadzić przytaczana przez Sowę interpretacja procesu włączenia Rzeczpospolitej w gospodarkę-świat kapitalizmu jako zaplecza surowcowego i rolniczego. Postulat przekroczenia relacji centrum – peryferie sugeruje przyjęcie strategii implementacji stosunków kapitalistycznych dokładnie w taki sam sposób, w jaki uczyniły to państwa centrum – czyli przez rozpoczęcie fazy merkantylizmu z początkową dyskryminacją podmiotów zagranicznych i z forsowaniem zasad „wolnego handlu” dopiero wtedy, gdy zbuduje się już silny własny przemysł. Działa to nawet na poziomie poprawienia bytu jednostek. Sam Sowa przyznaje, że kapitalizm ma walor emancypacyjny, ale tylko w obrębie danego systemu politycznego, na inne przenosząc opresję. Ten system społeczno-ekonomiczny stara się szkodliwe produkty swojej przemiany materii (niewolnicza praca, despotyzm, monokultura gospodarcza i niekapitalistyczne stosunki pracy) wydaląc na zewnątrz systemu politycznego centrum (imperium-świata), czyli w peryferyjne rejony całego systemu ekonomicznej wymiany (gospodarki-świata). Paradoksalną dla Sowy konsekwencją takiego ujęcia może być konkluzja, że tylko dzięki przyjęciu stosunków kapitalistycznych w ich metropolitalnej postaci można się uchronić przed losem peryferyjnej kloaki globalizującej się gospodarki (zob. tamże: 128). Zasadność takiej konkluzji wzmacnia-

ją przytaczane przykłady państw peryferyjnych, które z powodzeniem uzyskały akces do centrum (państwa skandynawskie, Korea Południowa).

Także rozważania o fantomowym ciele polskiego króla po wolnej elekcji sugerują w gruncie rzeczy dość konwencjonalny i okcydentalistyczny wniosek, że to, czego nam brakowało, to porządną zachodni absolutyzm monarszy.

To są jednak tylko wątpliwości co do kontekstu uzasadnienia. Co z samym postulatem Jana Sowy? Krzysztof Nawratek (2012) interpretuje proponowane przez niego rozwiązania

Tylko dzięki przyjęciu stosunków kapitalistycznych można się uchronić przed losem peryferyjnej kloaki

nie jako wezwanie do budowy „hegemonicznej kontr-narracji, narracji heterodoksyjnej, czerpiącej z domagających się uznania uniwersalistycznych dążeń narodów i państw peryferyjnych. Nie nacjonalizm więc, lecz internacjonalizm i odrzucenie/przekroczenie kapitalistycznej hegemonii jest jedyną drogą dla Polski (i świata)”. Naszym zdaniem nie jest to zbyt szczęśliwe odczytanie, ponieważ postulując „peryferyjną międzynarodówkę”, popada się w podobne błędy, jakie popełniają omówieni wcześniej „postmoderniści”. Ich wzorem chce się tu ustanowić alternatywną uniwersalność, z tym że nie na podstawie jednej, lecz wielu partykularności.

Postulat Jana Sowy można jednak interpretować jako podstawę do budowy bardziej lokalnego programu, który jest zbieżny z pomysłem „Pressji” na Polskę ejdetyczną. Proponowane przez nas podejście jest różne zarówno od rekonstrukcjonizmu poszukiwaczy zaginionego wieku, chcących odtwarzać dawne formy życia, jak i od naśladowców, pragnących ucywili-

zować Polaków według zachodnich wzorców. Polska ejdetyczna jest projektem, w ramach którego odnajduje się elementy istotne dla kształtowania polskiego *habitusu* w ciągu wieków, a które są jednocześnie ważnymi składowymi uniwersalnych wzorców wytwarzanych przez centrum. W 22–23. tece „Pressji” skupiliśmy się na polskiej idei wolności, zwracając uwagę na jej związek z uniwersalnymi ideami emancypacyjnymi (Skrzypulec 2010), dwudziestowieczną liberalną filozofią polityczną (Przychodzeń 2010), a także ideałem powszechnych praw politycznych (Czabanowski, Zabdyr-Jamróż 2010). Podobnej reinterpretacji doczekały się w 28. tece idee mesjanistyczne (Rojek 2012a). Jest to projekt *konstrukcyjny*, w którym rozpatrywane idee, mimo swojego historycznego zakorzenienia, mogą być swobodnie modyfikowane i zestawiane w różnorodne konfiguracje wedle aktualnych potrzeb. Wydaje się to praktyczną realizacją abstrakcyjnego postulatu Sowy o „odczytaniu we własnej partykularności ruchu tego, co uniwersalne”, a także jednym z bardziej owocnych pomysłów na budowanie narracji, która pozwala zaprezentować uniwersalne idee modernizacyjne jako spójne z polską partykularnością.

Sowa na kozetce

Można się zastanowić, dlaczego autor *Fantomowego ciała króla* prezentując pozytywny program wychodzenia z peryferii, operuje jedynie na poziomie niejasnych ogólników, a omawiając projekt Polski ejdetycznej, widzi w nim automatycznie jedynie próbę budowania konserwatywnego skansenu. Szczególnie dziwne jest to, że pisząc o krajach, którym udało się przezwyciężyć peryferyjny status, takich jak Szwecja czy Korea Południowa, wskazuje bardzo konkretne przyczyny ich sukcesu

– podjęte w odpowiednim momencie działania polityczno-ekonomiczne, nastawione na poprawienie geopolitycznej sytuacji danego państwa. Jednocześnie próby budowania przez Polskę aktywnej polityki wschodniej, które wydawałyby się jak najbardziej naturalne, biorąc pod uwagę usytuowanie naszego kraju, Sowa krytykuje jako rodzaj kolonialnej nostalgii.

W wyjaśnieniu tego napięcia pomocne mogą być tak owocnie używane przez autora *Fantomowego ciała króla* pojęcia zaczerpnięte od Lacana. Sowa odwołuje się do kategorii psychoanalitycznych, aby zdiagnozować patologiczny sposób funkcjonowania zbiorowej szlacheckiej psychiki. Jego zdaniem do zaburzenia prawidłowego rozwoju dochodzi na etapie, który Lacan nazywa fazą separacji. Podmiot zauważa wówczas, że Innemu (Matce, Ojczyźnie), który dotychczas był postrzegany jako idealny i spełniony, również czegoś brakuje. Ów brakujący element, określany przez Lacana jako „małe a”, staje się przedmiotem pragnienia podmiotu, jako coś w najwyższym stopniu wartościowego. Przedmiot ten jest jednak interpretowany czysto formalnie – żaden faktyczny byt nie zaspokaja ostatecznie pragnienia, które nakierowuje się na coraz to nowe obiekty. W procesie osobniczego rozwoju może to prowadzić do zyskania autonomii wobec Innego, natomiast w interpretacji Sowy wytworzenie się niemożliwego do zaspokojenia pragnienia jest charakterystyczną cechą społeczeństwa kapitalistycznego.

W wypadku polskiej szlachty „małe a” traci swój formalny charakter i zostaje utożsamione ze „złotą wolnością”. Prowadzi to do patologicznej sytuacji, w której szlachta miota się między stanem euforii spowodowanym posiadaniem „małego a”, w której oczywiście jest ślepa na realną

kondycję państwa, a fazą paranoiczno-depresyjną, w której obsesyjnie obawia się utraty złotej wolności za sprawą działań króla/ojca.

Można jednak pomyśleć o jeszcze innym dewiacyjnym przebiegu fazy separacji, w którym po zauważeniu braku w Innym podmiot nie zaczyna postrzegać go bardziej realistycznie, lecz odrzuca jako bezwartościowy z taką samą siłą, z jaką wcześniej uznawał za ideał. Prawdopodobnie wydaje

W beczelny sposób wkracza z lewicowym rynsztunkiem w pole do tej pory oddane prawicy

się wówczas powstanie wyidealizowanego obrazu Innego, posiadającego „małe a”, który jest konfrontowany z rzeczywistym Innym. W takiej sytuacji z jednej strony formułuje się roszczenia pod adresem Innego-rzeczywistego, aby stał się Innym-idealnym, a jednocześnie neguje możliwość takiej zmiany, gdyż każde działanie wybrakowanego Innego-rzeczywistego samo jest wybrakowane.

Podobny sposób myślenia wydaje się być obecny zarówno wśród części polskiej lewicy, jak i prawicy, a *Fantomowe ciało króla* także wydaje się być do pewnego stopnia uwikłane w ten schemat. Dla jednych „małym a” jest status nowoczesnego państwa, a Polska jest krytykowana zarówno za to, że takim krajem nie jest, jak również za wszelkie próby poprawienia swojej sytuacji, który wydają się naznaczone piętnem jej niedoskonałości. Dla innych Polska-idealna byłaby czymś tak innym od Polskiej-rzeczywistej, że mieszkańców tej drugiej w większości nie warto nawet nazywać Polakami. Zdrowym rozwiązaniem fazy separacji byłoby tu raczej pożegnanie się z marzeniem o Polsce-idealnej i zaakceptowanie faktu, że jedyne co mamy to niedoskonała

Polska-rzeczywista, która jednak może być poprawiana za sprawą dobrze przemyślanych działań politycznych.

Książka Sowy jest jedną z ciekawszych prób interpretacji polskiej historii w kontekście problemów współczesności. Jest wciągająca i porywająca. Niczym w dobrym kryminale wiedzie nas w napięciu przez kolejne elementy układanki – od teorii ekonomiczno-kulturowej (postkolonializm), przez dylemat teologiczno-polityczny (dwa ciała króla), do psychoanalitycznej diagnozy narodu szlacheckiego. Bez tej ostatniej – niczym w *Psychozie* Alfreda Hitchcocka – zostalibyśmy z wrażeniem bezsensu nagich faktów. Wreszcie możemy odetchnąć z ulgą: poznajmy motywacje bohatera, jakkolwiek byłyby potworne.

Książce Sowy można zarzucić wiele: lewicową agendę i zarazem endeckiego ducha, filozoficzną egzaltację i widowiskowość stawianych tez, podążanie za intelektualnymi modami i pochopne generalizacje, nadinterpretacje i błędy w szczegółach, a wreszcie pewną niekonsekwencję i mglistość proponowanych rozwiązań. Jednego nie można jej jednak odmówić. Jest szczerym wysiłkiem w poszukiwaniu sensu – wszechstronnym i erudycyjnym – wzorowym przykładem humanistyki w swej hermeneutycznej trosce o podmiot. W beczelny sposób wkracza z lewicowym rynsztunkiem w pole do tej pory oddane prawicy. Z całą pewnością jest to rzecz godna najwyższej uwagi.

Co dalej?

To był komentarz fantazmatycznych „Presji”. Obok zamieszczamy krytykę Filipa Białka z postkolonialnych „Nowych Peryferii”.



Jan Sowa, *Fantomowe ciało króla. Peryferyjne zmagania z nowoczesną formą*, Kraków: Universitas 2011, s. 584, oprawa miękka ze skrzydełkami, cena 43,20 zł



Polska ejdetyczna, „Presje” 2010, teka 22–23, s. 384, oprawa miękka, cena 25,00 zł, przesyłka za darmo.